

nie

NIE

nie

nie

Nie

NIE

nie NIE

nie

nie

nie

nie

NIE

NIE

nie

nie

Nie NIE

nie

Nie

nie

nie

nie

nie

nie

NIE Nie

nie

X.P. 11.10.13

O właściwej rzeczy równowadze...

Fahrenheit Crew

Od Redakcji:

Ta edycja Zakużonej Planety jest szczególna. Nie mamy bowiem do czynienia z tekstem całkowicie złym, dennym aż do bólu i wnerwiającym niczym paznokcie drapiące po tablicy. Nie. Autor pisze po polsku, nie sady żenujących byków i nadstawia plecy na razy (czyli dał zgodę, na czasem bolesną, rozbiórkę tekstu). Autor odwalił sporo roboty we własnym zakresie i chce się uczyć dalej. Dlatego Małgorzata zrobiła wykład...

ODPUST

Dostałam ten tekst dawno temu, ale choć łatwo mi było się czepić, nie umiałam dostrzec, co właściwie jest źle... Wreszcie zrozumiałam. Ten tekst zgrzeszył nie brakami, lecz nadmiarem. Żeby to dobrze pokazać, pozwolę sobie na trochę spojlerów w omówieniu, inaczej chyba mi się nie uda wskazać, na czym polega błąd. Nie, żeby to jakoś szczególnie zaszkodziło - w tekście nie ma elementów zaskoczenia ani puenty. A mogły być...

No, ale do dzieła!

Sven Thorson, ze względu na brak zarostu i delikatną, nieco kobiecą urodę nazywany Gładkim Svenem [tutaj powinien być przecinek] jechał powoli Traktem Biskupim w stronę Gottburga, usiłując wymijać wlokące się ślimaczym tempem wozy i furmanki. Jego koń, rasowy, czarny ogier, kupiony dwa dni temu we Friedrichsteinie, nie był przyzwyczajony do takiej ślamazarności, toteż co chwilę wyrwał do przodu, próbując zębami utorować sobie drogę. Sven nie był wielkim miłośnikiem, [a ten przecinek jest zbędny] ani znawcą koni, jednak nie wahał się zapłacić za wierzchowca siedemdziesięciu złotych denarów. Do miasta jechał na osobiste wezwanie Guntara Magnussona, zwanego Czartem, a to oznaczało, że szykuje się poważna robota. W robotach załatwianych przez Guntara, rączy i wytrzymały wierzchowiec często był elementem kluczowym, wręcz niezbędnym do przeżycia, dlatego nie warto było na nim oszczędzać.

Po zapowiedzi, że koń jest elementem kluczowym i niezbędnym do przeżycia (Twoje słowa, Autorze), oczekiwać należy, że ów koń odegra w tej opowieści ważną rolę. Nie muszę dodawać, że tak nie jest, prawda? W kolejnych akapitach przyjrzymy się koniowi, ale potem zwierzę to szlachetne i drogie zniknie w fabularnej próżni. Zapytać należy zatem, po jaką zarazę musiałam czytać opis dotyczący rumaka?

Ach, podobny problem mam z wyglądem Svena, głównego bohatera. Uroda, dzięki której zyskał przydomek, winna stanowić element fabularnie istotny, skoro już na początku się o niej dowiaduję. Niestety nic z tego. Obie kwestie nie mają żadnego znaczenia w dalszym toku zdarzeń...

Po co zatem cały ten akapit się pojawił?

To, obawiam się, pytanie retoryczne.

Z odpowiednio dużej odległości Gottburg prezentował się niezwykle imponująco, w pełni zasługując na nazwę Bożego Grodu. Strzeliste, czerwone wieże kościołów i katedr budziły zachwyt nie mniejszy, [przecinek zbędny] niż złociste i błękitne kopuły pałaców biskupich. Całe Górne Miasto, skąpane w promieniach południowego słońca, zdawało wznosić się do samych niebios. Jednak wjeżdżając przez Bramę Rzeźniczą, będącą [zbędny imiesłów] miejskim odpowiednikiem drzwi dla służby, Sven mógł zaznajomić się z mniej uroczą stroną metropolii, o której próżno było szukać wzmianki w pieśniach i trenach.

Z powyższego zdania wynika, że:

- a. Sven nie znał mniej uroczej metropolii (bo mógł się z nią zapoznać);
- b. o metropolii nie wspominały pieśni i treny (choć zwana była Bożym Grodem).
Trochę to zaskakujące...

Pozbawione jakiegokolwiek sensownej formy odprowadzania ścieków Dolne Miasto tonęło w brudzie i smrodzie. Śmieci, odpady z pobliskich rzeźni, martwe szczury, odchody ludzkie i zwierzęce zalegały w rynsztokach, tworząc trudną do zniesienia mieszankę aromatów, która na nieprzyzwyczajonych podróżnych działała niczym dobrze wymierzony cios obuchem między oczy. [Bo gdyby owa mieszanka aromatów była źle wymierzona, nie podziałałaby? Obawiam się, że to finezyjne porównanie nieco jednak oddala się od kwestii zapachowych => zapach (tu smród ironicznie nazwany aromatem) działa we wszystkie strony, co wyklucza konieczność dobrego celowania - wystarczy zgrubne wejście w zasięg i dostanie się w nos. Zawiodła spójność porównania, Autorze. Przez nadmiar słów.]

Od czasu do czasu lekki wietrzyk od strony rzeki wzbogacał ten wyjątkowy bukiet o nie mniej atrakcyjny zapach gnijących ryb i wodorostów. Efekt powodował natychmiastowe łzawienie oczu oraz obłazenie emalii z rycerskich tarcz i zbroi. Sven nie po raz pierwszy pomyślał, że gdyby zapach można było zapakować w jakieś pojemniki i przetransportować na pole bitwy, armia Gottburga nigdy nie zostałaby pokonana. [Armia jednak została pokonana, co nie ma absolutnie żadnego znaczenia dla fabuły, podobnie jak przemyślenia Svena...]

Przyjrzyjmy się przeczytanemu akapitowi. Zawiera opis miasta, zwłaszcza tej biednej części. Malowniczy, nie powiem. Znaczący, po przedstawieniu rumaka (niezwykle istotnego dla przeżycia) oraz bohatera (który za owego konia zapłacił sporo, pewnie żeby przeżyć i ocalić swoją gładką skórę i równie gładkie lico) zapoznajemy się z miejscem akcji...

Ach, nie. Przepraszam. Dolne Miasto (śmierzące czy nie) w dalszym ciągu opowieści już nie wystąpi. Zatem po co, Autorze, zapoznajesz mnie tak dokładnie z miejscem, które nie ma absolutnie nic wspólnego z akcją rozgrywającą się nieco dalej?

To też - niestety - pytanie retoryczne.

On sam nie zwracał na wszechobecny smród najmniejszej uwagi. Urodził i wychował się właśnie tutaj, w jednym z zaułków Dolnego Miasta. Matka, której nigdy nie poznał, miała na tyle dobre serce, że po porodzie podrzuciła go na próg przytułku, zamiast zwyczajowo udusić pępowiną i wyrzucić do rynsztoka. Sierociniec prowadzony przez braci zakonnych okazał się, co prawda ekskluzywnym burdelem dla klientów gustujących w niedojrzałych owocach, jednak nawet zakonnicy nie zmuszali do prostytucji dzieci poniżej pewnego wieku, a Svenowi udało się zwać, zanim skończył siedem lat. Od tamtego czasu żył na ulicy, żebrząc, kradnąc lub naciągając przyjezdnych, osiągając w tym prawdziwe mistrzostwo. Zręczność i szczęście opuściły go tylko raz, gdy postanowił odciąć sakiewkę czarnobrodemu marynarzowi, który pewnego dnia pojawił się w porcie. Był to właśnie Guntar. Zasadniczo, na ulicach Gottburga złodziej mógł się pomylić tylko raz. Pospolity ulicznik nie mógł sobie pozwolić na kosztowny odpust, a zwyczajową pokutą za kradzież było obcięcie obu dłoni. O dziwo, przybysz, który w krytycznym momencie złapał Svena za rękę nie zatłukł go na miejscu, ani nie wydał straży świątynnej. Powiedział tylko, że taki talent nie powinien marnować się w dokach i zabrał chłopca ze sobą.

Dowiadujemy się, że miasto opisane wcześniej było miejscem dorastania bohatera. Plus trochę elementów biograficznych, z których wynika, że bohater to mistrz kradzieży, naciągania i żebractwa. Świetnie. Czy choć jedna z tych umiejętności będzie miała znaczenie w fabule? Łatwo domyślić się odpowiedzi, prawda?

Dziś Sven miał dwadzieścia dziewięć lat, kilka wiosek przynoszących spore zyski i niewielki zameczek niedaleko Friedrichsteinu, pomimo faktu, iż w życiu nie przepracował uczciwie nawet godziny. Pracował natomiast bardzo ciężko rabując podróżnych, opróżniając kupieckie skarby,

grając w kości na wysokie stawki oraz uwodząc i naciągając bogate mieszczańki. To ostatnie zajęcie przynosiło mu nie tylko wysokie dochody, ale też dostarczało sporo satysfakcji. Co prawda, nierzadko musiał pojedynkować się z zazdrosnymi mężami, lub honorowymi braćmi, ale zawsze było to lepsze od podrzynania gardeł na gościńcu. Jego przeciwnicy wiedzieli przynajmniej, czym ryzykują. Gdy przyszła wiadomość, był akurat na dobrej drodze do całkowitego zbałamucenia hrabiny von Tirnenn, nieco pulchnej i dwa razy starszej, ale za to niezwykle hojnej żony hrabiego Wschodniej Marchii. Jej mąż, trafiony w czasie krucjaty pogańskim cepem w krzyże, nie był w stanie podnieść się z łóżka, o wypełnianiu małżeńskich obowiązków nie wspominając. Sven długo zastanawiał się, czy nie zignorować wezwania, miał jednak wobec Czarta spory dług wdzięczności. Poza tym, na zleceniach Guntara zawsze zarabiał się najwięcej.

Znowu garść informacji biograficznych bohatera, które niczego absolutnie nie wnoszą. Jakie znaczenie ma wiek i „profesja” Svena? Gdyby trzeba było uwieść jakąś hrabinę, żeby np. ukraść plany jej zamku/skarbca/czegokolwiek, ten akapit miałby rację bytu. Niestety, nic podobnego w ciągu dalszym nie następuje. Sven jest obecny. I tyle. Nie wyjaśnia się wcale, czemu Sven był Gutnarowi potrzebny. Nie wiem zatem, po co muszę tak dobrze znać rys biograficzny bohatera.

Ścisk w mieście robił się coraz poważniejszy. W pewnym momencie czarny ogier parsknął ze złością i niespodziewanie rzucił zadem, próbując kopnąć woła, który niemal najechał mu na pęciny. Sven z najwyższym trudem utrzymał się w siodle, rzucił wiązką przekleństw, nijak nie pasującą do wizerunku eleganckiego szlachcica, o który dbał z dużą starannością i postanowił dalszą drogę pokonać na piechotę. Cofnął się do niedawno mijanej oberży, zapłacił właścicielowi dwa srebrniki za pokój i miejsce w stajni, wypił kufel podłego piwa, wygładził ubranie, po czym ruszył w kierunku portu. Na punkt spotkania Guntar wybrał cichą, leżącą na uboczu karczmę Pod Krakenem, której właściciel nie zwykł zadawać pytań, a swoim gościom oferował odosobnione alkowy, idealne do dyskretnego załatwiania interesów handlowych lub przemysłowych.

Sven, znający miasto jak własną kieszeń szybko przemieszczał się wąskimi uliczkami. [Znajomość topografii miasta jest również elementem nieistotnym, ponieważ akcja wcale nie będzie się rozgrywać w mieście...] Przechodząc nabrzeżem szczyrzył zęby do portowych dziewczek, które bez przekonania wypinały swe wdzięki w kierunku licznych przechodniów, spróbował smażonych kalmarów tak świeżych, że jeszcze poruszały się w ustach i opędził laską gromadę smarkaczy próbujących zwinąć mu sakiewkę lub sprzedać niezapomniane chwile z dwunastoletnią siostrą albo bratem, jeśli wielmożny pan woli. Sam był kiedyś jednym z tych dzieciaków, więc nie bił zbyt mocno.

Dzieci i portowe dziewczki, dzieciństwo i młodość Svena – to wszystko do niczego nie jest potrzebne. Czytelnik długo nie zabawi w tym miejscu, wkrótce Autor wprowadzi go do tawerny, a stamtąd do właściwego miejsca akcji. Jak na ironię, miejsce akcji nie doczeka się równie barwnych opisów...

- Niech mnie knur pokryje! – dobiegł go nagle donośny głos – Toż to sam piękny Sven, postrach mężów, ojców a nawet wnuków bogatych niewiast w całym królestwie.

- No proszę, proszę – Sven odwrócił się powoli – Holger Rzeźnik we własnej osobie. Czyżby w Baaden zabrakło już owiec do gwałcenia?

Niewysoki, szczupły mężczyzna z pokrytą rzadkim zarostem twarzą roześmiał się głośno i złapał Svena w ramiona. Pomimo mikrej postury dysponował istic niedźwiedzim uściskiem. Znali się od dawna i niejednokrotnie pracowali razem, jednak po jednym, dosyć spektakularnym napadzie na królewski dyliżans pocztowy Holger postanowił zakończyć karierę i przeniósł się na wieś. Jego obecność w Gottburgu świadczyła, że tym razem Guntar ma na oku naprawdę poważną robotę. Obok Rzeźnika stał w milczeniu największy mężczyzna, jakiego Sven kiedykolwiek widział. Ubrany w szare futro olbrzym wyglądał w tłumie niczym zamkowa baszta postawiona pośrodku wiejskich chałup. Grubo ciosana, ponura gęba i zrosnięte brwi sugerowały, że jego matkę prawdopodobnie wychędożył wilkołak.

- To jest Wirt Wesołek – przedstawił giganta Holger. – Jest dzisiaj odrobinę nie w sosie, ale kilka

garnców piwa z pewnością przywróci mu dobry nastrój. Jak mniemam udajesz się do Krakena?

- Dobrze mniemasz. Wiesz może, co planuje Guntar?

- Wiem tyle, co ty. Znasz Czarta, nie lubi mówić zbyt wiele. Jak zawsze, wszystkiego dowiemy się na miejscu.

- Zatem chodźmy, to już niedaleko.

Ruszyli przed siebie wykorzystując Wirta, jako mobilny taran. Jeśli ktoś odpowiednio szybko nie schodził mu z drogi, prędko tego żałował.

- Opowiadał ci już ktoś, co spotkało księdza z Karlesbaum? - zapytał Holger, gdy mijali jedną z niezliczonych kapliczek Uriosa Spalonego.

- Karlesbaum to największe zadupie w królestwie, nie licząc pleców naszego wielbego arcybiskupa

- odparł Sven. - Niby dlaczego miałyby mnie obchodzić historia jakiegoś księżula z końca świata?

- Bo jest naprawdę wesoła. Słyszałeś o uchwale ostatniego synodu, według której kapłani w szczególnych i uzasadnionych przypadkach mogą sami decydować, co jest grzechem, a co nie?

- O tym akurat słyszał każdy.

Uchwała, o której wspominał Rzeźnik wywołała spore zamieszanie, gdy poszczególni kapłani zaczęli tworzyć swoje własne listy nowych grzechów wraz z odpowiednimi kwotami za udzielenie odpustów. Niektórzy uznawali za czyn grzeszny na przykład kichanie w świątyni, plucie na gościńcu, wchodzenie do domu w czapce albo posiadanie nieparzystej ilości owiec.

Ach! Nareszcie elementy, które jakoś wprowadzają czytelnika w fabułę. Tak, uchwała będzie mniej lub bardziej istotna dla fabuły. Reszta nie, żeby była jasność. Ale przynajmniej po tylu zbędnych akapitach doczekałam się czegoś, co można od biedy uznać za wprowadzenie.

- No i właśnie w Karlesbaum - ciągnął Holger - trafił się jeden niezwykle pobożny, ale wyjątkowo szkaradny parafianin. Podobno chłopina wyglądał, jak skrzyżowanie ropuchy z parchatym kozłem. Tamtejszemu proboszczowi obecność brzydala na każdym nabożeństwie wyjątkowo nie odpowiadała, bo paskud siadał zawsze w pierwszej ławce i zakłócał wrażliwe poczucie estetyki duchownego.

- Który zapewne był piękny, jak sam Urios tuż przed podpaleniem stosu?

- Zapewne, tyle że z półtora cetnara cięższy. Ale słuchaj dalej. Zaraz po wydaniu uchwały proboszcz ogłosił z ambony, że nieszczęsny pokrak ze swoją odrażającą fizjonomią stanowi obrazę boską samym istnieniem, wobec czego powinien płacić denara dziennie za odpust albo przyjmować po dwadzieścia batów pokuty.

- O rany, Rzeźnik, lepiej się tam nie pokazuj, bo każą ci płacić przynajmniej trzy razy tyle.

- Chędoż się, bierny sodomito - Holger zrobił minę, jakby faktycznie się obraził, ale nie wytrzymał długo.

- W każdym razie księżulo przedobrzył - podjął po chwili. - Rzeczony brzydala okazał się bękartem tamtejszego kanonika, który gdy tylko dowiedział się o całym zajściu wysłał biednego plebana z misją nawracania dzikich plemion na wschodzie.

- He, he, he - Sven roześmiał się szczerze, bo lubił dobre zakończenia. - A dzikusom spodobało się to pewnie równie mocno, co proboszczowi?

- A żebyś wiedział, że im się spodobało. Są bardzo otwarci na misjonarzy, bo normalnie nigdy im się nie trafia taki tłusty obiad.

W znakomitych humorach dotarli wreszcie do „Krakena”. Przy wejściu do zaułka stał potężny strażnik, którego zadaniem było przepędzanie wszelkiego, podejrzanego elementu. Ujrzawszy Wirta wyraźnie się zaniepokoił, ale dzielnie zagroził mu drogę.

- Oberża dzisiaj nieczynna - powiedział, a w jego głosie słyhać było tylko leciutkie drżenie.

- Jesteśmy gośćmi pana Magnussona - wtrącił szybko Sven widząc, że Wirt zaczyna podwijać rękawy.

- W takim razie zapraszam wielmożnych panów - odparł z wyraźną ulgą wykidajło i odsunął się z przejścia.

Do głównej sali prowadził wąski korytarzyk, w którym poproszono ich o zostawienie wszelkiej broni, co znowu nie spodobało się Wirtowi. W końcu, po długim i niezbyt zrozumiałym marudzeniu zdjął

szubę, odpiął wiszący na plecach olbrzymi topór i podał przerażonemu słudze. Ostrze broni miało mniej więcej metr szerokości i musiało być zrobione dla Wesołka na specjalne zamówienie, chyba że w dalekich krajach ktoś przeprowadzał nim egzekucje słoni.

Znowu element, który, choć barwnie opisany, nie zagra już w fabule. Pożegnajmy topór Wesołka minutą ciszy... O tawernie można również zapomnieć bez żalu, podobnie jak o jej gościach, ich wygląd i przymioty nijak się nie wyróżnią później w akcji.

W środku karczmy panował dyskretny półmrok, jednak nieliczne, zgromadzone tam osoby od razu zwróciły uwagę na wchodzącą trójkę, pozdrawiając ich skinieniem głowy. Pod oknem, przy dużym stole siedziało dwóch identycznych, na oko dwudziestoletnich młodzieńców. Ich wzajemne podobieństwo było tak uderzające, że nikt nie mógł mieć wątpliwości, co do stopnia pokrewieństwa. Stolik obok był zajęty przez przynajmniej dwukrotnie starszego, łysiejącego mężczyznę, trzymającego na obu kolanach dwie, jasnowłose dziewczyny, które naprzemiennie chichotały lub oblewały się rumieńcem. Z tyłu, obok komina stał wysoki, barczysty rycerz w pełnej zbroi, pykający jakby od niechcienia maleńką fajeczkę.

- Co my tu mamy? - Holger obiegił salę wzrokiem - Ola i Knut Vorrensen, słynne bliźniaki ze Skaagen, odpowiedzialni za masakrę podczas święta plonów. W tamtym kącie stoi Otto von Ritter, rycerz pozbawiony herbu i ścigany w całym królestwie za dziesiątki rozbojów i zabójstwo własnego seniora. A tego podstarzałego bawidamka nie znam.

- To Ivar Hatverson, zwany Centaurem - wyjaśnił Sven. - Najlepszy złodziej w Gottburgu.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- Właśnie dlatego jest najlepszy.

- A czemu nazywają go centaurem?

- Bo podobno poniżej pasa przypomina konia.

Rozochoczone blondynki musiały również słyszeć o tym przydomku, bo z minuty na minutę czerwieniły się coraz bardziej i chichotały coraz głośniejsze. Sven i Wirt usiedli przy jednym z wolnych stołów, po chwili dołączył do nich Holger, taszcząc trzy wielkie kufle pianistego piwa.

- Zimne marcowe - powiedział z nieukrywaną rozkoszą w głosie. - Najlepsze piwo w całym, cholernym królestwie. Na tym moim wypiędziewie piwo smakuje, jak końskie szczyny.

- Skąd wiesz, jak smakują końskie szczyny? - zainteresował się Sven.

- Wirt mi powiedział. On lubi takie specjały.

Olbrzym zaburczał coś z głębi kufła, ale nie brzmiało to wcale, jak zaprzeczenie. Zdążyli akurat zamówić drugą kolejkę, gdy w drzwiach bocznego alkierza pojawił się ubrany na czarno, krępy mężczyzna z szeroką, jak łopata brodą. Na pierwszy rzut oka trudno było określić jego wiek, gdyż poorana bliznami i zmarszczkami twarz niezbyt pasowała do sprężystego, muskularnego ciała. Liczne pasma siwizny w czarnej, jak smoła brodzie wskazywały, że musi być już sporo po czterdziestce.

- Czołem zuchy! - huknął donośnym głosem. - Tęskniliście?

Holger zerwał się pierwszy i podszedł do przybysza, szczerząc nierówne zęby w uśmiechu.

- Witaj [tutaj powinien być przecinek - jak zawsze, Autorze, oddzielamy wołacz od reszty wypowiedzi znakami interpunkcyjnymi (zwykle przecinkami) z OBU stron (chyba że zdanie zaczyna się wołaczem) => zapamiętaj, proszę, Autorze.] Guntar, stary piracie [Jasne, jasne, taki z niego pirat, jak ze mnie... nieważne. Ot, dla malowniczości języka zapewne pojawia się to określenie.] - powiedział wyciągając rękę. - Dobrze cię widzieć w zdrowiu.

- Wzajemnie, Holger. Dobrze widzieć was wszystkich.

Przywitał się po kolei z obecnymi w sali mężczyznami, a kobiety wygonił krótkim machnięciem ręki. Sven dostrzegł na szyi Magnussona duży, poślaczany medalik przedstawiający Uriosa na Stosie.

- O cholera, Guntar, czyżbyś został nawróconym urianinem?

- Czart neofitą? - parsknął śmiechem Rzeźnik. - Prędzej uwierzę w to, że Wirt wykąpał się z własnej woli.

- Pamiętaj, że nie możesz wierzyć we wszystko, co zobaczysz, Sven - Magnusson z tajemniczym uśmiechem podszedł do największego stołu i wyciągnął zza pazuchy plik pergaminów.
- Chodźcie bliżej, chłopcy. Pora wyjaśnić, w jakim celu niepokoiłem, najgroźniejszych i najodważniejszych zawadiaków w królestwie.
Kilkanaście minut później, oszołomiony Sven żałował, że nie został w ciepłych, przytulnych ramionach hrabiny von Tirnenn.

Tutaj warto się znowu zatrzymać. Otóż przeczytałam dziewięć stron, około 16 000 znaków (ze spacjami - mój Word policzył). Z tego co najwyżej 2 000, czyli może jedna strona, zawiera istotne dla fabuły informacje. Wbrew pozorom nie są to przymioty Svena ani też wygląd miasta, czy to w dzielnicy turystycznej, czy też w slumsie. O koniu już możemy zapomnieć, choć ponoć istotny był dla przeżycia. Większość tekstu, jaki mam już za sobą, to wypełniacz, wata słowna, która nijak się nie wiąże z tym, o czym chyba miał opowiadać ten tekst...

Rozumiem, że opowieść winna mieć klimat, a czytelnik musi poznać bohatera [oraz inne dramatis personae], ale to nie oznacza, że należy wprowadzić szczegóły en masse. Nie jest też wymogiem (mniej lub bardziej) zamieszczenie biogramu oraz opisu wszystkiego, co w danym momencie dzieje się wokół przedstawianego bohatera. Konstrukcja, którą nazywamy powszechnie fabułą, to nie prosty ciąg opisów przeplatanych przypadkowym dialogiem... Bynajmniej.

Urios Talos był człowiekiem skromnym, prostym i uczciwym, który z jakichś niewyjaśnionych do tej pory przyczyn, pewnego dnia wyszedł z domu i zaczął nauczać ludzi, jak mają żyć. Większość spotkanych osób, do tej pory znakomicie radziła sobie z tym trudnym zadaniem bez niczyjej pomocy, więc traktowała go jak sympatycznego i niegroźnego szaleńca. Jednak z czasem nauki Uriosa, gloryfikujące życie w skromności i ubóstwie zaczęły znajdować coraz większą rzeszę zwolenników. Jego słowa padały na podatny grunt, gdyż dzięki trwającej trzy lata suszy ilość ludzi skromnych, a przede wszystkim ubogich drastycznie wzrosła. Talos gromadził wokół siebie żebraków, nędzarzy, biedotę i drobnych przestępców, gdyż głosił, iż nikt nie jest dla Boga ostatecznie skreślony, bo nawet największy grzesznik może dostąpić zbawienia, jeśli odkupi swe winy ciężką pracą i dobrymi uczynkami.

Kościół początkowo patrzył na to wszystko z dużą pobłażliwością, no bo kto by zabraniał biednym życia w ubóstwie i ciężkiej pracy? Problem zaczął się w momencie, w którym Urios oznajmił, że kapłani, jako boscypomazańcy powinni, świecąc przykładem, zrezygnować ze swych majątków i zająć się głoszeniem ewangelii, a nie polityką, wojnami i zbieraniem podatków. Biskupi, niezbyt świadomi skali zjawiska, jakim stał się urianizm oskarżyli Talosa o herezję, a następnie, z zachowaniem pełnego ceremoniału spalili na stosie. Zdziałało to niczym przysłowiowy kij wsadzony w mrowisko. Setki tysięcy chłopów, żebraków i głodujących mieszczan chwyciło za broń. W całym królestwie świątynie zapłonęły oczyszczającym ogniem, a drzewa ugięły się pod ciężarem kapłanów i zakonników. Król, nie mniej zaskoczony od władz kościelnych, wyczerpany niedawną wojną z Cesarstwem Quinn, nie był w stanie skutecznie powstrzymać powodzi, zwłaszcza, że większość jego żołnierzy okazała się sympatyzować z urianami. Przejęcie władzy w Kościele trwało niecały miesiąc i zakończyło się utopieniem arcybiskupa w beczce moczu. Z zachowaniem pełnego ceremoniału, ma się rozumieć.

Nowe władze ostro zabrały się za wprowadzanie w życie nauk i przykazań Uriosa. Przede wszystkim, każdy grzesznik pragnący dostąpić zbawienia musiał odpokutować swe dotychczasowe winy. Szybko się zorientowano, że w zasadzie ciężka praca i dobre uczynki dają się dosyć łatwo przeliczyć na złoto, do zdobycia którego ciężka praca i dobre uczynki są przecież niezbędne. Stworzono więc, aktualizowaną corocznie oficjalną listę grzechów oraz cennik odpustów za każdy z nich. Jeśli kogoś nie było stać na odpust powinien odbyć zasłużoną pokutę, najlepiej przy odbudowie spalonych kościołów i plebanii. Dzięki pragmatycznemu podejściu i bezlitosnemu egzekwowaniu pokut, urianie

w krótkim czasie zgromadzili bogactwa [urianie czy kapłani urianizmu, bo chyba różnica jest znacząca?], o których dawnym dostojnikom kościelnym nawet się nie śniło i przejęli faktyczną władzę w królestwie. Mówiono, że zadłużony po uszy w świątynnej kasie król bał się nawet puścić bąka, bez uprzedniej dyspensy od arcybiskupa.

A tutaj nareszcie pojawił się wstęp, który powinien otwierać tę opowieść. Nie chodzi mi oczywiście o styl, lecz o informacje, które dla opowieści są istotne => to powyżej stanowi rys historyczny, tło, bez którego nie będzie można zrozumieć, co zrobiła banda zabijaków wezwana przez Gutnara... Czyli właśnie to, co Autor winien przemyścić jakoś na początku opowieści.

Powinam jeszcze zapytać, jakiemu celowi służy wcześniejszy tekst, ale zmilczę. Zbyt wiele pytań retorycznych tylko męczy.

W chwili obecnej, przy głównej bramie Pałacu Arcybiskupiego działo się coś dziwnego. [To jest miejsce akcji od zewnątrz. Przypomnę tylko, że opis ogólny miasta liczył sobie dwie strony, zaś miejsce właściwej akcji nie doczekało się nawet jednego rozwiniętego zdania! Zaskakujący brak równowagi, nieprawdaż?] Dwa duże, pokryte kolorowym płótnem wozy kupieckie stały na podjeździe, a powożący pierwszym z nich, czarnobrody, krępy mężczyzna toczył ożywioną dyskusję z kapitanem straży. Woźnica najwyraźniej nie potrafił zrozumieć, że pora audiencji minęła już dawno temu, a w chwili obecnej Jego Wielbność spożywa kolację w towarzystwie kleryków, co potrwa przynajmniej dwie godziny.

I oto początek akcji. Nareszcie!

- Nie rozumiesz, zakuta pało, że wiozę właśnie zaopatrzenie na tę zasraną kolację? - irytował się kupiec. - Jakies pieprzone słowicze jęczyczki, jaskółcze gniazda, stuletnie jaja i inne wykwiśnięte paskudztwa. Masz pojęcie, jak to śmierdzi?

- Jeśli mają sto lat, to poczekają jeszcze jeden dzień - gwardzista był niewzruszony. - Nikogo nie wpuszczę do pałacu po zmroku, choćby wioził prochy samego Uriosa.

- Zdajesz sobie sprawę, co będę musiał teraz zrobić?

- Mało mnie to obchodzi.

- A powinno...

Złowieszczy ton, z jakim zostały wypowiedziane ostatnie słowa spowodował, że kapitan spojrzał na kupca uważniej. Mimo to nie dostrzegł sztyletu, który pojawił się w [jego] lewej ręce. Cięcie było błyskawiczne i celne. Krew chlusnęła malowniczą fontanną na biały piasek, którym wysypany był cały podjazd. Przytłumione odgłosy szamotaniny dobiegające zza parkanu świadczyły, że pozostali strażnicy również przestali stanowić liczącą się przeszkodę. Po kilku minutach brama otworzyła się bezszelestnie. [Nadal brak opisu miejsca akcji, wiadomo tylko, że ma dobrze naoliwioną bramę. Cóż mogę dodać?]

- Dobra robota, chłopcy - powiedział Guntar, zacierając ręce. - Ciała na wozy, krew zasypać piaskiem. Knut i Ola, przebierajcie się w mundury świątynne i nie wpuszczajcie nikogo do środka.

- Będziemy się topili w piekle za to wszystko... - mruknął jeden z bliźniaków, ale posłusznie ubrał kapitański płaszcz.

- Nie przejmuj się, Knut. Jedyne piekło, jakie istnieje mogę ci załatwić ja - odparł Magnusson. - Holger, Wirt, do refektarza. Zagońcie wszystkich klechów do piwnicy i dobrze zamknijcie. Uważajcie, żeby żaden się nie wymknął, bo narobi rabanu na całe miasto. Otto, Ivar, wy idźcie do skarbcza. Pamiętajcie drogę?

Odpowiedziały mu dwa szybkie skinięcia. Poprzedniego wieczoru spędzili dużo czasu studiując plany pałacu, zdobyte jakimś cudem przez Czarta. [Wygląd miasta i biografia Svena (oraz jego konia) okazały się ważniejsze od tego istotnego elementu akcji, czyli planów. Plany pojawiają cudem, na mocy chciejstwa Autora. Są, bo muszą być. Zresztą ich istotność nie jest zbyt duża, przecież i tak nie wiadomo, co właściwie te plany odwzorowują - pałac. A konkretniej? Konkretniej się nie dowiemy, nie.]

- Pamiętajcie, że w pałacu jest jeszcze jedenastu strażników i około czterdziestu księży i diakonów. Postarajcie się nie zabijać więcej niż będzie to konieczne. Sven, ty idziesz ze mną. Złożymy wizytę naszemu świętobliwemu arcybiskupowi.

- Guntar...

- Coś nie tak, Sven?

- Jesteś pewny, że...

- Uspokój się, chłopcze. Mój plan nie ma słabych punktów.

Klepnął byłego podopiecznego w plecy i ruszyli zaciemnionym korytarzem w stronę zachodniego skrzydła. Przed drzwiami prowadzącymi do prywatnych komnat arcybiskupa stało dwóch, rosyłych wartowników. Byli to doskonale opłacani, uzbrojeni po zęby i znakomicie wyszkoleni zawodowcy, jednak kilka lat pracy polegającej wyłącznie na odpędzaniu niechcianych gości i namolnych interesantów odrobinę osłabiło ich czujność. Nie zauważyli, ani nie usłyszeli nic podejrzanego, do momentu, gdy dwa specjalnie wyważone sztylety nadleciały z ciemności i niemal jednocześnie wbiły się im w lewe oczodoły. Jednak wtedy strażnikom nie pozostało już nic innego, jak powoli osunąć się na miękki dywan i umrzeć.

- Moja szkoła - mruknął z zadowoleniem Magnusson, przestępując nad drgającymi jeszcze ciałami. Ostrożnie nacisnął na klamkę bogato zdobionych drzwi i delikatnie, starając się nie narobić hałasu pchnął je do środka. Oczom Svena ukazała się ogromna, urządzona z niebywałym przepychem komnata, ze stojącym pod ścianą, zastawionym jedzeniem stołem. Centralną pozycję w pokoju zajmował gigantyczny, puchowy fotel, który na oko mógłby pomieścić połowę haremu cesarza Quinn. Na fotelu siedział jednak tylko jeden, nieprawdopodobnie otyły mężczyzna, odziany w długą, szkarłatną szatę. Był to sam walebnny Alvir Urrson, arcybiskup Gottburga. Błogi uśmiech goszczący na jego twarzy tłumaczyły dwie pary bosych stóp, wystających spod biskupiej sukni. Rytmiczne ruchy w okolicach krocza dostojnika dawały do zrozumienia, że dwaj klerycy otrzymują wieczorne błogosławieństwo w sposób, o jakim Uriosowi Spalonemu zapewne nawet się śniło.

- Niech będzie pochwalony! - Guntar już nie starał się być cicho. - Przyjmiecie, walebnny ojcie grzesznika do spowiedzi?

Był plan, teraz plan jest wdrażany w życie - i fajnie. Nawet trochę malowniczych jatek pojawiło się w trakcie. Krew dobrze robi opowieści, tworzy się realizm, głębia i czerwień. Wołałabym co prawda więcej napięcia, bo kiedy wszystko idzie gładko, odbiorca się nudzi. Nic dziwnego. Zero napięcia, zero emocji. A to niedobrze...

- To ostatni - wysapał spocony jak mysz Holder, ładując na wóz pękaty, miło brzęczący worek. - Cholera, nie wiedziałem, że pieniądze mogą tyle ważyć.

Od chwili, gdy Czart zatrzymał pierwszy pojazd przed świątynną bramą minęła niecała godzina. Wszystko poszło jak z płatka, księża i klerycy siedzieli bezpiecznie zamknięci w podziemiach, a przy pomocy kluczy zabranych biskupowi Ivar bez trudu uporał się z wrotami do skarbcza. Ilość skarbów, które tam zastali początkowo wprawiła rabusiów w osłupienie, a chwilę później w euforię. Guntar rozkazał ładować wyłącznie złote monety i drogie kamienie, a i tak wozy zostały obciążone do granic możliwości. Wirt, obwieszony złotymi łańcuchami i z brylantowym diademem na głowie wydawał się szczęśliwszy, niż małpa na plantacji bananów. Magnusson, upewniwszy się, że uwięzieni kapłani nie mają możliwości narobienia kłopotów zebrał całą drużynę w głównym holu. Arcybiskup siedział na środku sali pod czujnym okiem von Rittera i jego długiego, zakrwawionego miecza. Duchowny trząsł się cały, jak kiepsko ścięta galareta, ale trudno było ustalić, czy ze strachu, czy ze złości. Czart przykleknął przed nim na jedno kolano i grobowym głosem zaczął recytować:

- Spowiadam się Bogu wszechpotężnemu, stworzycielowi Ziemi, Niebios i Otchłani Piekielnych i Uriosowi Talosowi, jego pomazańcowi, który zesłany na ziemię spłonął za nasze grzechy...

- Co to ma być? - przerwał piskliwym głosem arcybiskup - Przestań bluźnić, świętokradco! Chcesz

się spowiadać, po tym co uczyniłeś?

- A dlaczego nie? – zdziwił się Guntar. – Przecież Urios nakazuje, aby odpokutować swoje grzechy.
- Spowiedź jest dla pobożnych urian, którzy żałują popełnionych czynów.
- Jestem pobożnym urianinem, wielebny, a czynów przed chwilą popełnionych strasznie żałuję, bo dawno mnie tak plecy nie bolały od dźwigania.
- Jesteś mordercą, złodziejem i poganinem!
- Niezupełnie. Dwa dni temu, podczas Święta Płomieni udzieliłeś mi chrztu i odpuściłeś wszystkie dotychczasowe winy. Co prawda mogłeś mnie nie zapamiętać, bo nowo ochrzczonych było kilkuset, ale twój skarbnik przyjął dwieście denarów zryczałtowanej opłaty za odpust zupełny i posypał mi głowę popiołem. To chyba oznacza, że jestem jednym z was, nieprawdaż?
- Zapłacisz mi za to.
- Ależ oczywiście. Zapłacę co do miedziaka, a nawet dołożę co nieco z czystej dobroci serca.

Wypowiadasz mnie wreszcie?

- Nigdy, ty... ty...

Guntar nie dał Urrsonowi dokończyć. Zarwał się na nogi i przycisnął sztylet pomiędzy trzeci, a czwarty podbródek duchownego.

- Posłuchaj mnie uważnie, wieprzu – wysyczał. – Każdy, z siedzących w piwnicy klechów może udzielić mi rozgrzeszenia. Nie będzie ono mniej warte od twojego. A powinieneś wiedzieć, że stać mnie na jeszcze jedno zabójstwo, nawet ze szczególnym okrucieństwem.

Alvir udowodnił, że nie zostaje się najwyższym dostojnikiem kościelnym myśląc powoli i drżącym głosem zapytał:

- Jakimi zatem czynami obraziłeś Wszechpotężnego?

Magnusson zastanowił się przez chwilę i zaczął odginać po kolei palce.

- To będzie tak, dwanaście zabójstw, czterdzieści jeden przypadków znieważenia, pobicia i uwięzienia wbrew woli osoby duchownej, no i oczywiście rozbój połączony z kradzieżą kwoty większej niż jeden dukat. Aha, byłbym zapomniał, zdarzyły się jeszcze dwa przypadki gwałtu i sodomii. Wirta troszkę poniosło – popatrzył na olbrzyma, który zawstydzony rysował czubkiem buta skomplikowane figury na marmurowej posadzce. – Straszny z niego huncwot. Grzechy tych oto zuchów niech obciążą mą duszę, gdyż działali z mojego rozkazu. W sumie i zaokrąglając, to będzie...

- urwał na chwilę, licząc w pamięci - ...czterdzieści dwa tysiące denarów. Zgadza się, wielebny?

- Chyba tak – ponuro odparł biskup, mierząc Magnussona nienawistnym spojrzeniem.

- Chłopcy, przynieście z wozu pięćdziesiąt tysięcy, a tymczasem wielebny Alvir sporządzi na piśmie odpust za nasze okropne grzechy.

Zrobili, po czym wykorzystali wierzenia. Fajnie. Tylko wykonaniu literackiemu czegoś zabrakło. Czego? Napięcia, oczywiście.

Brak tutaj tego, co czyni z prostej fabuły opowieść godną zapamiętania – zaskoczenia czytelnika. A przecież koncepcja jest fajna => banda zakapiorów obrabowała dostojnika kościelnego i zapewniła sobie bezkarność za ten uczynek. Tu jest przekręt. A przynajmniej powinien być przekręt. Gdyby Autor go opisał odpowiednio. Znaczący, nie jak nudny raport policyjny, lecz jak rasowy włam z zaskakującym zakończeniem. Emocji zabrakło, ponieważ zamiast opowieści, Autorze, najważniejsze sprowadziłeś do prostej relacji.

Szkoda.

Obładowane złotem wozy ruszyły w stronę portu, gdzie czekał na nie wynajęty zawczasu statek. Sven i Guntar sprawdzali jeszcze, czy w pałacu nie został przypadkiem ktoś, kto mógłby zbyt wcześnie podnieść alarm. Arcybiskup pomimo protestów i klątw został zakneblowany i związany jak baleron, we własnych komnatach. Początkowo Czart chciał go wtrącić do lochu, jak pozostałych, ale nawet we czwórkę nie dali rady przepchnąć grubasa przez wąskie, piwniczne drzwi.

- Coś taki markotny, Sven? - zapytał Guntar, gdy wyprowadzali konie. - Przecież wszystko się udało, mamy więcej złota, niż kiedykolwiek nam się marzyło.

- Niby tak, ale...

- Ale co?

- Nie boisz się, Guntar?

- Niby czego? Mamy autentyczny, potwierdzony odpust, więc oficjalnie jesteśmy rozgrzeszeni. Arcybiskup pewnie spróbuje nas dorwać prywatnymi kanałami, ale za takie pieniądze możemy wynająć armię najemników do ochrony.

- Nie o to mi chodzi. Okradliśmy Kościół, zabiliśmy strażników świątynnych i kapłanów. Nie boisz się boskiej kary?

- Nie mogę się bać czegoś, co nie istnieje, Sven.

- Wiem, że nie wierzysz w boga, ani przeznaczenie Guntar, ale co jeśli się mylisz? Co jeśli On tam rzeczywiście jest?

- Coś ci opowiem chłopcze, ale najpierw ruszajmy stąd, zanim przypała się jakiś pielgrzym.

Sven zamknął dokładnie bramę pałacu, sprawdził czy na piasku nie widać krwi i dosiadł swojego czarnego ogiera, który aż rwał się do galopu. Pojechali jednak spokojnie, żeby nie wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania.

- Wspomniałem ci kiedyś, że urodziłem i wychowałem się w Vissen, małym miasteczku na zachodzie - zaczął opowieść Guntar. - Mój ojciec był szewcem, prawdopodobnie całkiem dobrym, bo zawsze mieliśmy co do garnka włożyć. Gdy miałem cztery lata, mama urodziła Jona, ślicznego chłopca o czarnych, kręconych włosach i twarzy aniołka. Strasznie się ucieszyłem, bo moi pozostali bracia byli sporo ode mnie starsi i traktowali jak piąte koło u wozu. Wreszcie miałem się z kim bawić i o kogo się troszczyć. Jon był bardzo inteligentnym, ciekawym świata i wiecznie uśmiechniętym berbeciem, w dodatku wpatrzonym we mnie, jak w święty obrazek. Kochałem go nad życie.

Magnusson umilkł na chwilę i podrapał konia między uszami. Sven nie odzywał się i czekał cierpliwie na ciąg dalszy.

- Któregoś dnia ojciec wrócił do domu, jak zwykle pijany w trupa. Coś mu nie poszło w interesach i szukał kogoś, na kim mógłby wyładować złość. Na początek nawinęła się matka, która akurat kładła Jona spać. Po pierwszym ciosie upadła na podłogę, a mój braciszek zaczął płakać. Ojca zezłościło to jeszcze bardziej, więc próbował uciszyć chłopca pięściami. Chciałem go powstrzymać, ale co mogłem zrobić, miałem tylko sześć lat. Odepchnął mnie i tłukł Jona dalej, bez opamiętania. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę Sven, ale strasznie trudno jest uciszyć małe dziecko biciem. No chyba, że bije się naprawdę mocno. Ojcu się udało. Jon nie zapłakał już nigdy więcej.

Guntar znowu przerwał, tym razem na dłużej. Sven po raz pierwszy widział go tak wzruszonego.

- Nie sprawili mu nawet przyzwoitego pogrzebu, bo ojciec bał się niewygodnych pytań, a kto by tam się doliczył dzieci jakiegoś szewca. Chcesz mi powiedzieć Sven, że to było z góry zaplanowane? Że przeznaczeniem mojego dwuletniego braciszka było zostać zatłuczonym na śmierć przez własnego ojca i utopionym w gnojówce? To miałyby być częścią wielkiego bożego planu? Nie, Sven. Nie ma przeznaczenia i nie ma Boga. A jeśli się myślę, jeśli rzeczywiście w niebiosach jest jakiś psychopatyczny skurwiol, który kieruje tym całym burdelem, to nie ja powinienem się bać, ale my wszyscy.

Jechali przez chwilę w milczeniu, które przerwał Sven:

- A może Bóg dał nam wolną wolę po to, żebyśmy sami dokonywali wyborów i tworzyli świat?

- Jeśli tak, to tym bardziej nie musisz się niczego bać, bo pozbawienie tego tłustego knura nadmiaru gotówki nie było zbrodnią, ale wręcz obywatelskim obowiązkiem.

- Ale my nie obrabowaliśmy arcybiskupa, tylko tak jakby Boga.

Guntar zaśmiał się głośno i szczerze.

- Oj Sven, Sven... A na cholerę Wszchemogącemu pieniądze?

- W sumie, to nie wiem...

- No właśnie. Złoto jest potrzebne tylko księżom i biskupom, a nie Bogu. A dzięki temu, że udało nam się odrobinę tego złota uszczknąć już nie będziesz musiał uwodzić starych, pomarszczonych

babsztyli. Teraz to ty będziesz uwodzony, przez młode, piękne oszustki.

O, rany... Ta głęboko filozoficzna dyskusja o Bogu i wierze zwała mnie z nóg. Nie znoszę takiego pouczenia przez Autorów. Zwłaszcza gdy za podstawę dykteryjki służy wyszmacony opis nieszczęścia pacholęcia niewinnego, ofiary przemocy domowej... Wywała mi flaki. Dzieci budzą emocje, jasne. Ale trzeba ostrożnie używać podstawowych motywatorów (czyli dzieci, małych zwierzątek i nagich kobiet). Wymuszony, słabo związany dialog po nudnym raporcie z rabunku, wygląda jak doklejony na siłę do reszty tekstu. To ma być podsumowanie? A jak się wiąże z początkiem?

Tak, to też pytania retoryczne...

Sven uśmiechnął się promiennie, bo taka wizja całkiem mu odpowiadała. Obiecał jednak sobie w duchu, że za część pieniędzy wybuduje kapliczkę, albo nieduży kościółek ku czci Uriosa Spalonego. Ot tak, na wszelki wypadek. W końcu dobry oszust powinien być przygotowany na wszystkie możliwości.

Przepraszam, kto był bohaterem tej opowieści? Gutnar czy Sven? Sądząc z przydługiego przedstawienia na początku tego tekstu, Sven. Sądząc po zakończeniu, Gutnar...

I o czym właściwie było to (z braku lepszego określenia) opowiadanie? O tym, jak wyrolowano dostojnika kościelnego, o zemście Gutnara za kwestie świątopoglądowo-religijne, czy o Svenie i jego przygodzie? Znaleźć można fragmenty, które potwierdzają każdą z wymienionych kwestii. Problem w tym, że to są trzy różne opowieści. A kiedy się opowiada po trochu o wszystkim to tak, jakby się opowiadało o niczym.

I właśnie taki jest ten tekst. O niczym.

Dostrzegam tu potencjał, koncepcję, którą można opowiedzieć na co najmniej trzy sposoby. Kluczem do sukcesu, czyli stworzenia interesującego tekstu literackiego, jest jednak wybór. Ty, Autorze, takiego wyboru nie dokonałeś. Nie zdecydowałeś, czy chcesz czytelnika pouczać w sprawach istnienia/nieistnienia Boga, czy też wolisz humorystyczną opowieść o spryciarzach i ich przekręcie na chciwym biskupie, czy też miała to być po prostu przygodówka Svena.

Ten tekst ma potencjał na każde z wymienionych opowiadań, jednak nie jest żadnym z nich. W ogóle nie jest opowiadaniem, ponieważ nie wiadomo, o co w nim chodzi, o czym opowiada. Właśnie dlatego to tylko tekst – miálki, przegadany i nudny. Dwadzieścia stron bicia piany, bez śladu napięcia, bez śladu emocji...

Naucz się wybierać, Autorze. Naucz się hamować swoje pragnienie, aby czytelnikowi opowiedzieć wszystko od razu i koniecznie w danym momencie. Sortuj informacje pod określone ujęcie koncepcji. Ponieważ nie przeczę, że w tym tekście jest pomysł wart opowiedzenia. O ile tylko zdecydujesz, JAK chcesz go opowiedzieć, Autorze.

Wspominałam o fabule. To fabuła tworzy opowieść. Nie jest to prosty ciąg epizodów na osi czasu – jak to widać w przypadku tego tekstu. Fabuła to zbiór epizodów uporządkowanych, powiązanych bardzo ściśle. Znaczy, że jeżeli przedstawia się bohatera na koniu i podkreśla wartość konia już na początku, należy tego konia w fabule wykorzystać – skoro koń jest niezbędny do przeżycia, niech bohater dzięki niemu przeżyje w jakimś epizodzie, może końcowym. Jeżeli opisuje się gładkie lico bohatera i jego mistrzostwo w trudnej sztuce doliniarstwa lub uwodzenia dam, winno się to mistrzostwo pokazać potem w działaniu... I tak dalej.

Obecność danego elementu – opisu lub dialogu, zdarzenia lub postaci – winno mieć dla toku opowiadanych zdarzeń znaczenie. Niekoniecznie wyraźnie widoczne dla czytelnika już na początku, lecz bezwzględnie celowe, gdy dotrze się do końca opowieści.

W tym tekście związki fabularne zależą wyłącznie od Twojego widzimisie, Autorze. Nie pokazujesz tego, co ważne, ale to, co akurat się dzieje. Wychodzi słowotok bez znaczenia i celu, niestety.

A ponieważ słowo zdradza Autora, mogę również powiedzieć, że jak Twój tekst, tak i Ty masz potencjał. Język nie budzi moich obiekcji – drobne uchybienia i potknięcia łatwo skorygować. Znaczy, dobrze.

Teraz użyj tego stylu do opowieści. Jednej. I waż każde słowo.
Wtedy spotkamy się przy literaturze, Autorze...

Małgorzata